

Wiadomości Polonijne

Wierzewski - Lotusland ze str. 21

Przeniesienie się na dobre Ganny Walskiej do nowej posiadłości w Kalifornii, w roku 1945, po rozstaniu z Theosem Bernardem, otworzyło długi i słoneczny czas jej „złotej jesieni”. Przekształcenie dawnego Tanglewood w Tibetland (jak pierwotnie nazwała tę posiadłość Ganna Walska) zajęło całe dziesięciolecie. Wprawdzie poprzedni właściciel 98 akrowej posesji, Ralph Stevens nadał jej już swoisty charakter, sadząc kaktusy i dzieląc ją z czasem na kilka bardzo odrębnych segmentów, to jednak dla przyszłego Lotuslandu (na obecnych 37 akrach terenu) potrzebna była nie tylko wyobraźnia i wizja specjalistów od zagospodarowywania przestrzeni (pierwszym z nich był Lockwood de Forest) ale też długoletnia, intensywna praca całej armii ludzi. Wymagało to także trudnych do wyobrażenia nakładów finansowych. Faktem jest, że Ganna Walska wyprzedzała zarówno swoje posesje we Francji, a na koniec wystawiła na aukcji swoją biżuterię, aby zyskać niezbędny finansowy „zastrzyk” dla kolejnych projektów tak bliskiego teraz jej sercu, Lotuslandu. Jest on obecnie wyjątkową atrakcją turystyczną w Santa Barbara, należąca do prywatnej fundacji imienia założycielki.

Dla nas istotniejsze będą prywatne losy właścicielki „Lotuslandu”, która poza swoją karierą śpiewaczką i towarzyszką zapisała się także bardzo pamiętnie w dziejach Polonii. Choć mówiła przede wszystkim po francusku i po angielsku (znała też dobrze z młodości rosyjski) zawsze nalegała na to, aby w otoczeniu rodaków mówić po polsku, choć często miewała trudności ze znalezieniem potrzebnych jej słów. Żywiła wielki sentyment do wszystkiego co polskie - nie tylko nosiła stroje ludowe na odpowiednie okazje, ale także wspierała hojnie liczne przedsięwzięcia charytatywne, narodowe i artystyczne. W czasie wojny, o czym wiem z otrzymanych listów, otworzyła praktycznie Lotusland dla stacjonujących bądź leczących się w Santa Barbara żołnierzy amerykańskich. Wystawiała pięciocyfrowe czekki na występy przyjeżdżających z kraju polskich zespołów muzycznych i artystów z Warszawy. Wielkodusznie, hojnie łożyła na odbudowę Zamku Królewskiego, za co spotkały ją zasłużone, wysokie odznaczenia państwowe. Jej hojność i życzliwość była powszechnie znana nie tylko w kręgach Polonii kalifornijskiej. W pamięci najbliższych, brata i krewnych, których często i gościnnie podejmowała w swojej posiadłości, pozostała zawsze prawdziwą Polką, która żywiła zawsze serdeczny stosunek do kraju i jego ludzi, a także do wszystkiego, co się w nim przez miniony wiek działo. Dlatego zasłużyła sobie z pewnością by wejść w poczet „znamiennych Polek w Ameryce”, o których wypada nam pamiętać. □

Inglis - znaczeniami spraw ze str. 19

W jej rodzinnym domu przy ulicy Ikara w Warszawie, którego mimo usilnych prób nie zdołała odzyskać, mieszka gen. Wojciech Jaruzelski. Pani Halina była jedną ze spadkobierców domu przy ulicy Ikara 5/ Idzikowskiego 5. Jej matka Pani Lidia Przedpelska była wywłaszczona. Lidia Przedpelska umarła w USA w 1983 roku.

Przedpelskimi sprawami nie załatwi. Tacy zasłużeni ludzie zostali wywłaszczeni ze swoich własności, na których zwrot od Polskiego Rządu się nigdy nie doczekali. Jednym z potomków pani Lidii Przedpelskiej jest też jej wnuk Ryszard Przedpelski zamieszkały w USA. Może on będzie miał więcej szczęścia odzyskać część własności.

Jadwiga Inglis, International Correspondent from California □

**Popierajcie firmy
ogłaszające się
w News of Polonia
One pomagają
polskiej społeczności**

Santa Rosa ze str. 17

kilometrów na północ od Meksyku w stanie Guanajuato skupiał około półtora tysiąca Polaków. Rzadko można znaleźć tylu dokumentów obcych, dotyczących emigrantów polskich, jak te, które zajmują się kolonią Santa Rosa. Mówię o informacjach i komentarzach prasowych. Wynika z nich, że mieszkańcy kolonii na podstawie umowy zawartej pomiędzy Sikorskim a rządem meksykańskim nie mogli mieszać się z miejscowym społeczeństwem, nie wolno im było pracować na zewnątrz obozu, który został otoczony drutem. Władze obozowe z własnych funduszy opłacały meksykańskich strażników, do których obowiązków należało niewypuszczenie i niewpuszczenie nikogo bez przepustki. W pewnym okresie na terenie obozu działała również polska policja. Kontrolowano pocztę, na co uskarżali się koloniści w listach do prasy polonijnej w USA. Wszystkie te zarządzenia wprowadziły polskie władze obozowe, a służyć one miały szczytnemu ideałowi zachowania w nieskażonej formie sił młodzieży i dzieci, żeby nie stały się one Meksykanami, żeby nikt nie miał ochoty zostać na ziemi azteckiej. Wszyscy mieli zachować siły na powrót do wyzwolonej ojczyzny, aby wnieść ją ze zgliszcz i ruin. Przez całe lata wpajano te idee dzieciom i młodzieży szkolnej w Santa Rosa czyniąc z niej cel życia, nauki i wszystkiego czym się zajmowano. Publikacje towarzyszyły życiu polskiego obozu aż do ostatnich dni jego istnienia.

2 marca 1944 roku meksykańskie czasopismo „Todo” zamieszcza artykuł pt. „Ludzie bez ojczyzny”, w którym czytamy: „Kolonja znajduje się w pewnej odległości od miasta, w starej haciendzie Santa Rosa. Już z daleka można dostrzec stary młyn obecnie zamieniony na szkołę, wieżę kaplicy i większość budynków. Nadzwyczaj złą, pylistą i nieprzebytą w czasie deszczów drogą dochodzi się aż do bramy, która prowadzi do świata zamkniętego, prawdziwej wyspy w sercu Meksyku. Wśród 1500 osób mieszkających w Santa Rosa jest 700 dzieci, z których 265 są sierotami. Kolonia posiada dobrze zorganizowaną szkołę, bibliotekę z 3,000 tomów, kościół, własny szpital i pomieszczenia mieszkalne.”

23 czerwca 1944 stołeczny „Excelsior” przynosi informację o młodych Polkach, które przygotowują się do wyruszenia na front jako ochotniczki. Spośród 70 kobiet, które zgłosiły się do Kobiectw Służby Pomocniczej wybrano 23. „Excelsior” nie podaje jednak, na jaki front Polki zostały skierowane.

La Prensa, Mexico D. F. 21.11.1944: Uparty wysiłek polskich kolonistów sprawia, że ruiny opuszczonej haciendy zamieniają się w dynamiczny ośrodek produkcyjny. Sprawdza się tradycyjna pracowitość Polaków. W kolonii znajduje się 217 mężczyzn, 547 kobiet, 253 chłopców i 432 dziewczynki. Na wielkim podwórzu haciendy zbudowane są w formie trapezu nowe konstrukcje. Wyrastają rzędy indywidualnych mieszkań. Ponadto przygotowano szkołę i centrum socjalne, szpital, ambulatorium, gabinet dentystyczny, pokoje biurowe dla administracji.

Organizacja pracy zadziwiająco sprawna. Mężczyźni i kobiety pracują od samego świtu do zmierzchu w wielu warsztatach, w szkole i kuchni. Programy szkolne układane są zgodnie z narodowym programem nauczania. Inżynierowie, mechanicy, murarze i lekarze pracują po 12 godzin dziennie. Brakuje tu jedynie więcej swobody w działaniu, ziemi i zaufania do zdolności Polaków, aby kolonia stała się centrum działalności zarówno dla kolonistów jak i Meksykanów ze stanu Guanajuato. Warunki narzucone przez wojnę i restrykcje wobec wolnej inicjatywy zagranicznego robotnika uniemożliwiają krajowi uzyskanie większej korzyści, bardziej widocznego rezultatu pracy polskiego kolonisty.”

W 1946 roku większość mieszkańców Santa Rosa opuściła Meksyk, niektórzy przyjechali do Polski, inni wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych i Kanady. Sporo kobiet zostało w Meksyku, powychodziło za mąż, pozakładało własne rodziny. Jeśli mówię o rysie szczególnie w biografii Polonii meksykańskiej, jakim był obóz w Santa Rosa, to dlatego, że było to doświadczenie jedyne

w swoim rodzaju. 7-go października 1945 roku ówczesny prezydent Meksyku Avila Camacho zwiedził obóz polski w towarzystwie uprzedniego prezydenta Lazaro Cardenesa i swojego następcy Miguela Alemana, zaproponował on wówczas: „W imieniu narodu meksykańskiego ofiaruję wszystkim, którzy chcieliby wrócić do swego kraju, wszelkiego rodzaju pomoc, dla tych zaś, którzy zamierzaliby tu pozostać, mamy ramiona otwarte”.

Mimo to Londyn Chrzanowski delegat do spraw działalności Rady Polonii Amerykańskiej pisze w swoim sprawozdaniu dotyczącym ostatniego okresu życia kolonii: „Ludzie odchodzili od zmysłów, nie wiedząc co robić, szczególnie, iż czas zamknięcia osiedla zbliżał się szybko, a zarządzenie ambasady opiewało, że jeśli wychodzący nie opuszczą obozu do dnia 31 grudnia 1946 roku, zostaną z niego siłą usunięci. Pod koniec grudnia zaczął się chaotyczny wyjazd, najczęściej nieprzemysłany. Specjalni urzędnicy z ramienia rządu meksykańskiego wydawali pośpiesznie uchodźcom paszporty emigracyjne dające im prawo do pracy oraz zamieszkania w każdej części Meksyku.

W ciągu ostatnich dziesięciu dni grudnia musiało opuścić obóz 730 osób, przeważnie kobiet z dziećmi. Jedni jechali do pracy w ranczach Doliny Meksykańskiej, w fabrykach tekstylnych stolicy. Inni szykowali się do długiej podróży, aby dopiero za kilkanaście dni znaleźć się w nieprzebranych dziewiczych lasach tropikalnego Jukatana”.

Na Jukatana wybrało się kilkanaście rodzin pod przewodnictwem ks. Józefa Jarzębowskiego, ale nie wytrzymali tam, próbowali zbierać gumę z drzew gumowych, ale nie umieli odróżniać węży od konarów, zmogła ich również nigua, owad powodujący ciężkie schorzenia i malarię. Musieli wrócić.

Dawna kolonia polska w Santa Rosa jest zupełnie pusta, założono tu sierociniec dla meksykańskich dzieci. Chodzę wśród pięknych wewnętrznych dziedzińców, ogrodów kwiatowych, których tutaj pełno, zaglądam do kościółka, a właściwie dużej kaplicy obozowej, w której oni tylekroć bezskutecznie szukali pocieszenia. Pani Maria Sobota, wdowa po dyrektorze gimnazjum w Santa Rosa oprowadza mnie wśród dziedzińców internatu, który został zbudowany rękami polskich kolonistów. Zwiedzamy adaptowany na pomieszczenia szkolne dawny młyn. Nie ma już tutaj śladów zmagania, tragedii i rozpacz, która była udziałem polskich osiedleńców wojennych. Dokumenty rozproszone po czasopiśmie trudno byłoby znaleźć w meksykańskich archiwach, gdyby nie zapobiegliwość p. Feliksa Soboty, dyrektora gimnazjum i kronikarza osiedla. Dawni mieszkańcy obozu nie chcą lub nie umieją o nim mówić. W Guadalajarze spotkałem wychowankę obozu, z której nic nie udało mi się wyciągnąć, okazało się, że obawiała się mówić, ponieważ po dziś dzień nie ma paszportu meksykańskiego, boi się, żeby jej nie kazano opuścić Meksyku. Szczegóły zaciera się w pamięci dawnych osiedleńców do tego stopnia, że nawet nazwa statku, którym przyplynie uleciała. Zachowały się jedynie fragmenty notatek i sprawozdań, które mówią o różnych powikłaniach polskich mieszkańców Santa Rosy, o niezrozumiałych, zda się z perspektywy czasu, lękach i wzajemnych uprzedzeniach. Zapytałem o obóz w Santa Rosa Elenę Poniatowską, wybitną pisarkę meksykańską polskiego pochodzenia, ale nie miała mi nic powiedzieć zajęta sprawami meksykańskimi. Jedyne dokumenty, które się zachowały, znajdują się w posiadaniu Marii Soboty w Guadalajarze, strzeże ich ona jak rodzinnego skarbu.” □

Martin Krawiec, Attorney

Ethical / Experienced

Accidents - Business & Civil Litigation
Estate Planning - Personal Injury
Probate

Real Estate - Trusts - Wills

1457 East Chapman Fullerton

(714) 871-7331

Mówimy po Polsku

Latus - Samotni z wyboru ze str. 18

uwierzy. Szkolna edukacja, książki, poradniki, prasa, filmy, nastawiają go bowiem tak, by widział swoje życie, potrzeby i pragnienia jako najważniejsze. Czy ludzie z tak wypranymi mózгами tylko udają przed sobą, że jest im dobrze? Może do pewnego stopnia im tak jest. Nie są szczęśliwi (- A czy w ogóle ktokolwiek jest? - pytają i przytaczają przykłady nieudanych związków i dysfunkcyjnych rodzin.), ale jest im dobrze, OK, są dość zadowoleni z życia, żyje im się wygodnie, przyzwyczaili się. Przyzwyczajenie jest drugą naturą. Żyjąc w samotności, wypełniają więc czas rutyną zajęć, pracy, hobby - aż w pewnym momencie wydaje im się, że gdyby do ich samotni wtargnęła druga osoba, mężczyliby się, dostosowując do jej trybu życia i gustów. A może już w ogóle by się przystosować nie potrafili? No, na pewno by się trochę mężczyli - tym bardziej, im dłużej byli sami - ale w końcu by się przyzwyczaili, gdyż samotność jest dla człowieka stanem mniej naturalnym niż życie w grupie. A potem, gdy partner odejdzie lub umrze, zrozumieliby, że jednak samotność jest czymś nieskończenie gorszym niż bycie z kimś. Dotyczy to także - proszę wybaczyć porównanie - posiadania zwierząt. Wielu niechętnie bierze na siebie taki kłopot i na początku zżyma się na nowe obowiązki i ograniczenia wolności. Gdy jednak zwierzę umiera... nie znam nikogo, komu nie zlamaloby to serca.

Ale piszę o świadomych wyborach - a przecież tylu ludzi jest samych wbrew swojej woli i na złość marzeniom; bo po prostu tak im się układa parszywe życie. Obserwatorzy, nie znajdując w samotniku ewidentnych felerów i przeciwwskazań, komentują złośliwie: -Widać miał za duże wymagania! Pewnie szukała księcia!

Prawie nikt nie szuka księcia. Szukamy natomiast kogoś, kto nas pokocha. Wielu nie znajduje - bo są nieśmiali, bo mają kompleksy, bo w miarę starzenia się są coraz bardziej zablokowani w kontaktach towarzyskich. Narasta w nich poczucie inności i niższej wartości, „niedorobienia” - i związanego z tym wstydu. Choćby nam głośno mówili, jak to im fajnie w pojedynkę...

Zostawię na boku moje prywatne, pokrecone losy. Moje życie, moja sprawa. O tyle jednak to moje nietypowe życie się przydaje, że łatwiej mi przychodzi empatia. Ze chyba domyślam się, co dzieje się w sercach ludzi, którzy wracają codziennie do pustego domu. Którzy chowają się przed ludźmi na Wigilię. Którzy z desperackiej potrzeby czułości kupują sobie koty i psy. Którzy ze złością mijają dekoracje na walentynki. Którzy z coraz większym smutkiem obchodzą swoje urodziny. Którzy rzucają się w tej swojej cichej desperacji w skrajności diet i obżarstwa, operacji plastycznych, żarłocznego zarabiania pieniędzy, alkoholizmu, pracoholizmu, shopholizmu, internetu, czytania wierszy miłosnych i książek self-help, dewocji, kompulsywnego sprzątanía mieszkania. Którzy czują, że ich życie dla samych siebie jest mało ważne, może nawet bezwartościowe. Tak przynajmniej myślą, żyjący samotnie, ludzie wrażliwi i dobrzy. Którzy by chcieli dawać, ale nikt nie chce tego od nich przyjąć. Są ich miliony.

Ściska mi się więc serce, gdy widzę ludzi otyłych, schorowanych, nie dość ładnych, niezbyt zgrabnych, jękających się i czerwieniących, trochę za niskich lub za wysokich. Czy też wyglądających OK, ale z supłami w głowie: kompleksów, neuroz, nieufności, depresji. W dzieciństwie poniewieranych - lub zagłaskanych, w szkole zbyt wyróżnianych - lub ośmieszanych, wyniszczonych ciężkim życiem - lub zbyt rozpieszczonych, by stawić mu teraz czoło.

Statystycznie są singlami - tak ich ludzie eufemistycznie nazywają i tak, zawadiacko, określają sami siebie. A oni po prostu chorują na największą chorobę naszych czasów: samotność. □